

R.A. Monroe

Dalekie podróże



Tytuł oryginalny:

Far Journeys

Copyright © 1985 by Robert A. Monroe

All Rights Reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Zdjęcie na okładce: © *Mopic - Fotolia.com*

WYDANIE POLSKIE

© for the Polish edition: Galaktyka Sp. z o.o., Łódź 2015

90-562 Łódź, ul. Łąkowa 3/5

tel. +42 639 50 18, 639 50 19, tel./fax 639 50 17

e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl

www.galaktyka.com.pl

ISBN: 978-83-7579-377-2

Redaktor prowadzący: *Marek Janiak*

Redakcja techniczna: *Marta Sobczak*

Korekta: *Małgorzata Gołąb*

Projekt okładki: *Artur Nowakowski*

Skład: *Garamond, Łódź*

Druk i oprawa: *Abedik S.A.*

Księgarnia internetowa!!!

Pełna informacja o ofercie, zapowiedziach i planach wydawniczych

Zapraszamy

www.galaktyka.com.pl

kontakt e-mail: info@galaktyka.com.pl;

sekretariat@galaktyka.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody wydawcy książka ta nie może być powielana w częściach, ani w całości. Nie może też być reprodukowana, przechowywana i przetwarzana z zastosowaniem jakichkolwiek środków elektronicznych, mechanicznych, fotokopiarskich, nagrywających i innych.

Dedykuję:

*Nancy Penn Monroe,
znacznie więcej niż żonie,
której trwała i niezmienna miłość,
wsparcie, uczestnictwo i zrozumienie
były niezbędnymi elementami
w przygotowaniu
i realizacji tego zapisu.*

*Oraz setkom innych osób, które
przez ponad piętnaście lat przejawiały
zainteresowanie, poświęcały
swoją czas i energię,
bez których
tak niewiele byśmy osiągnęli.*

SPIIS TREŚCI

Przedmowa.....	9
----------------	---

Prolog.....	13
-------------	----

Część 1. Bliskie podróże

1. Stara droga	21
----------------------	----

2. Hemi-Sync	40
--------------------	----

3. Otwieranie wrót	56
--------------------------	----

4. Pierwszy zespół badawczy	72
-----------------------------------	----

5. Nowe kontakty	90
------------------------	----

6. Przejście	105
--------------------	-----

Część 2. Najdalsze podróże

7. Badania i metody.....	125
--------------------------	-----

8. Miejsce spotkań	144
--------------------------	-----

9. Tęczowa droga.....	167
-----------------------	-----

10. Nowy przyjaciel.....	190
--------------------------	-----

11. Ważna misja.....	215
----------------------	-----

12. Zasłyszana historia.....	234
------------------------------	-----

13. Terapia wstrząsowa	255
14. Krótka lekcja	267
15. Wycieczka w przyszłość.....	298
16. Zgromadzenie	328
 Epilog.....	 340
Uzupełnienie.....	383

STARA DROGA

Skoro od czegoś trzeba zacząć, to przede wszystkim chciałbym powiedzieć, że nadal żyję, mimo iż od dwudziestu pięciu lat praktykuję wychodzenie z ciała. Czas wprowadzić swoje, lecz wciąż jestem bardziej lub mniej sprawny.

Chwilami jednak nie byłem tego taki pewien. Lekarze, do których zwracałem się z moimi dolegliwościami, mieli na ich temat różne poglądy. Niektóre autorytety w dziedzinie medycyny zapewniały mnie, że moje choroby stanowią naturalną konsekwencję życia w cywilizowanym świecie, że są spowodowane warunkami, w jakich żyje społeczeństwo amerykańskie drugiej połowy dwudziestego wieku. Natomiast inni lekarze uważają, że fakt, iż wciąż jeszcze żyję, zawdzięczam wieloletnim podróżom poza ciało. Sami zdecydujcie, który z powyższych sądów jest trafny.

A więc okazuje się, że regularne wychodzenie z ciała nie zagraża życiu. Co więcej, nie wpływa też ujemnie na psychikę. Mówię to na podstawie własnego doświadczenia, gdyż co jakiś czas byłem badany przez specjalistów, a wyniki testów wykazywały, że pod względem psychicznym jestem zupełnie normalny, choć świat, w którym przyszło mi żyć, całkiem normalny nie jest. Wiele osób robi różne dziwne rzeczy i uchodzi im to bezkarnie. W ubiegłym wieku taką osobliwą działalnością mogła być na przykład przeprawa w beczce przez wodospady Niagary.

A zatem – na czym polega zjawisko nazywane doświadczeniem poza ciałem? Tym, którzy jeszcze nic na ten temat nie słyszeli, wyjaśniam, że jest to stan, w którym człowiek, znajdując się na zewnątrz ciała fizycznego, zachowuje pełną świadomość, mogąc postrzegać i działać w taki sam sposób, w jaki to robi przebywając w ciele fizycznym – z nielicznymi wyjątkami. Przebywając poza ciałem możesz poruszać się w przestrzeni (i czasie?) powoli lub z szybkością znacznie przekraczającą prędkość światła. Możesz obserwować otoczenie, uczestniczyć w zdarzeniach, których jesteś świadkiem, możesz dzięki poczynionym przez siebie obserwacjom podejmować świadome decyzje. Możesz przenikać przez materię fizyczną, taką jak ściany, stalowe płyty, beton, ziemię, oceany, powietrze, a nawet przez strefę promieniowania radioaktywnego – bez trudu i jakiegokolwiek uszczerbku dla zdrowia.

Możesz wejść do sąsiedniego pokoju, nie zadawszy sobie trudu otwierania drzwi. Możesz odwiedzić przyjaciela oddalonego o tysiące kilometrów. Możesz, o ile cię to interesuje, badać Księżyc, system słoneczny, galaktykę. Możesz także odbywać podróże do innych systemów rzeczywistości, na temat których nasza ograniczona przez czasoprzestrzeń świadomość czyni mgliste domniemania, zaledwie zdając sobie sprawę z istnienia tych innych światów.

Zjawisko, o którym mówimy, nie jest wcale czymś nowym. Ostatnie badania wykazały, że około 25 procent naszej populacji pamięta przynajmniej jedno doświadczenie tego typu. Historia ludzkości pełna jest relacji o takich przypadkach. W dawnej literaturze poruszanie się poza ciałem fizycznym nazywano „projekcją astralną”¹. Zrezygnowałem z posługiwania się tym terminem, gdyż jako kojarzący się z okultyzmem, nie spełnia

¹ Ang.: *astral projection* (przyp. tłum.).

on dzisiejszych kryteriów naukowych. W latach sześćdziesiątych współpracujący ze mną psycholog, Charles Tart, popularyzował określenie „poza ciałem”². Na przestrzeni minionego dwudziestolecia ten ogólny termin, oznaczający specyficzne stany istnienia, przyjął się w krajach Zachodu.

W moim przypadku wszystko zaczęło się od tego, że pod koniec 1958 roku, bez widocznego dla mnie powodu, zacząłem „wychodzić” z ciała. Ze względu na późniejsze wydarzenia o znaczeniu historycznym³ muszę zaznaczyć, że nie przyczyniły się do tego ani narkotyki, ani alkohol. Narkotyków nie używałem nigdy, zaś alkohol piję rzadko.

Przed kilku laty brałem udział w konferencji odbywającej się niedaleko naszego dawnego domu w Westchester County, w stanie Nowy Jork – miejsca, w którym po raz pierwszy doświadczyłem OOB. Kiedy przejeżdżaliśmy blisko domu, powiedziałem do siedzącego obok mnie psychologa, że do dziś nie znam powodu swoich eksterioryzacji.

Znajomy rzucił okiem na budynek i odwrócił się do mnie z uśmiechem. – To proste. Powodem był ten dom. Przyjrzyj mu się dokładnie.

Zatrzymałem samochód. Dom wyglądał jak niegdyś. Miał kamienne ściany i zielony dach. Nowy właściciel utrzymywał go w dobrym stanie. Odwróciłem się do znajomego. – Nic się tu nie zmieniło.

– Spójrz na dach. – Wskazał palcem w górę. – Jest to klasyczna piramida, a w dodatku pokryta miedzią. Tak właśnie wyglądały wierzchołki wielkich piramid w Egipcie, dopóki miedzi nie zdarli grabieżcy.

Patrzyłem oniemiały.

² Ang.: *out of the body experience* – OOB (przyp. tłum.).

³ Autor ma na myśli ruch hippisów (przyp. tłum.).

– Energia piramid, Robercie – ciągnął. – Czytałeś o tym. Mieszkałeś w piramidzie. To było powodem!

Energia piramid? No cóż, możliwe. Istnieją przecież książki i inne publikacje mówiące o występowaniu dziwnych energii wewnątrz tych budowli.

Gdybym powiedział, że pierwsza podróż poza ciałem tylko mnie przestraszyła, byłoby to z pewnością eufemizmem. Kiedy jednak zjawisko zaczęło się powtarzać, wpadłem wręcz w panikę – prześladowały mnie wizje guza mózgu i zbliżającej się choroby umysłowej. Wobec tego poddałem się licznym badaniom lekarskim, lecz ich wyniki całkowicie wykluczyły moje podejrzenia. Stwierdzono tylko „niewielkie zaburzenia halucynacyjne” i zalecono psychoterapię. Diagnozę tę uznałem za błędną i nie rozpocząłem leczenia. W tym okresie miałem wielu przyjaciół wśród psychiatrów i psychologów – oni również borykali się ze swoimi problemami, choć z pewnością były one bardziej „konwencjonalne” od moich.

Zamiast tego zacząłem obserwować i analizować samo zjawisko, aż strach i panika ustąpiły miejsca narastającej ciekawości. Poszukiwania zawiodły mnie do ludzi związanych z nauką (całkowite odrzucenie), religią („To dzieło szatana”), parapsychologią („Ciekawe, szkoda, że nie dysponujemy danymi na ten temat”), a także do osób zajmujących się wiedzą Wschodu („Zapraszamy na dziesięć lat do naszego aszramu w północnych Indiach”), Wszystko to opisałem w mojej pierwszej książce *Podróże poza ciałem*⁴.

Jedno jest pewne – cel, który sobie postawiłem przy jej pisaniu, zrealizowałem z nawiązką. Książka spowodowała nadejście

⁴ Tytuł oryg. *Journeys Out of the Body*. W polskim przekładzie książka ta ukazała się w 1986 roku pod tytułem *Eksterioryzacja* i została wydana przez Towarzystwo Psychotroniczne w Warszawie (przyp. tłum.).

tysięcy listów z różnych stron świata. Setki z nich zawierały podziękowania od osób, które dzięki niej odzyskały spokój, upewniwszy się, że nie są chore psychicznie. Ludzie ci pisali, iż teraz, po przeczytaniu książki, nie czują się już tak osamotnieni posiadając „intymną” tajemnicę, której do tej pory nie potrafili sobie wytłumaczyć, a co najważniejsze – wiedzą, że nie czeka ich wizyta w gabinecie psychiatry ani łóżko w szpitalu dla umysłowo chorych. I takie właśnie było założenie mojej pierwszej książki: pomóc choćby jednej osobie uniknąć niepotrzebnego umieszczenia w zakładzie zamkniętym.

Jeżeli o mnie chodzi, to jestem wprost oszołomiony zmianami, jakie zaszły podczas tych dwudziestu pięciu lat. W sferach akademickich i większości środowisk naukowych mówi się już dziś otwarcie o zjawisku OOB. Mimo to jestem przekonany, że przeważająca liczba osób z naszego kręgu kulturowego nie uświadamia sobie istnienia tego rodzaju zjawisk we własnym życiu. Ja sam jeszcze w 1959 lub 1960 roku z pewnością nie uwierzyłbym, że kiedyś na ten temat wygłoszę odczyt w Smithsonian Institution, ani w to, że na konferencji Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego zostanie zaprezentowany referat z tej dziedziny. A jednak oba te wydarzenia miały miejsce.

To, co dziś najczęściej słyszę, bardzo mi przypomina stary i wypróbowany trick stosowany w przemyśle rozrywkowym. Otóż kiedy producent rozmawia z szukającym pracy aktorem, to najpierw wysłuchuje rzeczy dobrze już sobie znanych. A więc, że aktor rozpoczął karierę zawodową w 1922 roku w *The Great One*, w 1938 grał w *Who Goes There?*, zdobył Nagrodę Krytyki za główną rolę w *Nose to Nose*, a w 1949 grał rolę Williego w *What Makes Willie Weep*. W pewnym momencie producent przerywa i zadaje bardzo proste pytanie: „No dobrze, a co pan robił ostatnio?”.

Ano właśnie. Co robiłem (poza ciałem) od czasu ukazania się pierwszej książki? Na to pytanie zazwyczaj udzielam następującej odpowiedzi. Początek lat siedemdziesiątych to okres pierwszych frustracji i ograniczenia podróży poza ciałem. A teraz powiem coś, w co, jak sądzę, wielu osobom trudno będzie uwierzyć – podróże te zaczęły mnie nudzić. Po jakimś czasie przestałem się nimi fascynować. Uczestniczenie w testach wymagało wysiłku, a ponieważ wiązało się z wysiłkiem, zacząłem sobie uświadamiać, że udowodnienie czegokolwiek w tej dziedzinie nie jest dla mnie możliwe, gdyż działałem w sposób tylko sobie właściwy. Gdy jednak nie byłem krępowany ograniczeniami, jakie niosły ze sobą testy, to wydawało się, że nie pozostaje już nic ciekawego do zrobienia.

Straciłem również zainteresowanie dla wcześniej wypracowanych technik wychodzenia z ciała, gdyż znalazłem łatwiejszy sposób osiągnięcia tego stanu. Zwykle budziłem się po dwóch lub trzech cyklach snu, czyli po około trzech, czterech godzinach, całkowicie rozbudzony, odprężony fizycznie i wypoczęty. „Oderwanie się” od ciała i swobodne płynięcie przychodziło wówczas z dziecinną łatwością. Był tylko jeden problem – nie wiedziałem, co mam dalej robić. O trzeciej lub wpół do piątej rano wszyscy jeszcze spali, więc moje ewentualne podróże nie miały żadnego sensu. Wobec tego kręciłem się trochę po okolicy bez szczególnego celu i zainteresowania, po czym „wślizgiwałem się” do ciała, zapalałem światło i czytałem dopóty, dopóki nie zachciało mi się ponownie spać. I tak to wyglądało.

Zwiększało się tylko moje zniechęcenie, a przymus wciąż pozostawał. Musiało więc istnieć jakieś dodatkowe wytłumaczenie powodów i celu funkcjonowania poza ciałem, którego do tej pory nie dostrzegł mój świadomy umysł (ani umysł innego człowieka).

Wiosną 1972 roku zrozumiałem, w czym rzecz. To właśnie mój świadomy umysł stanowił czynnik ograniczający. A więc jeśli – jak dotąd – pozostawię mu kierowanie eksterioryzacjami, nic się nie zmieni. Ma on nade mną zbyt dużą władzę. W takim razie, czy nie byłoby lepiej tę kierowniczą funkcję powierzyć mojemu całkowitemu „ja” (duszy?), mającemu w działalności poza ciałem dużą wprawę?

Będąc przekonany o trafności tego spostrzeżenia, postanowiłem urzeczywistnić swój zamysł.

Następnego wieczoru położyłem się spać, a obudziwszy się po około trzech godzinach (dwóch cyklach snu), przypomniałem sobie o powziętej decyzji. Odłączyłem się od ciała fizycznego i swobodnie uniosłem. Powiedziałem w swoim świadomym umyśle, że prowadzenie mnie podczas eksterioryzacji powierzam całkowitemu „ja”. Po chwili (trwało to chyba zaledwie kilka sekund), znajdując się w tej dobrze mi znanej „przestrzennej” ciemności, poczułem ruch i potężny przypływ energii – tak oto rozpoczął się całkowicie nowy etap moich нефизycznych doświadczeń. Począwszy od tamtej nocy prawie zawsze używam powyższej procedury przy wychodzeniu z ciała.

Rezultaty OOBЕ tak bardzo różniły się od wszystkiego, co świadomy umysł mógłby sobie na ten temat wyobrazić, że powstał nowy problem. Doświadczenia te trudno opisać. I chociaż moim eksperymentom zawsze towarzyszy świadomość fizycznego „tu i teraz”, to jednak ponad dziewięćdziesięciu procent tych wydarzeń nie jestem w stanie przełożyć na język używany w świecie czasu i przestrzeni. Zachodzi tu przypadek podobny do tego, gdy chcąc opisać słowami wrażenia towarzyszące nam podczas słuchania muzyki (np. wykonywanej przez orkiestrę symfoniczną z chórem), nie posłużymy się fachową terminologią. Można wprawdzie zamiast technicznych określeń, takich jak: notacja, instrumenty, interwały, tonalność etc., używać wy-

rażeń: „subtelna”, „zniewalająca”, „przerażająca”, „napawająca nabożną czcią”, „gorąca”, „rozkoszna”, „cudowna” – a jednak jest to bardzo odległe od wiernego opisu.

Jeśli coś robisz, rób to najlepiej, jak umiesz. Moim zdaniem, gdy tylko podejmiesz wysiłek, osiągniesz właściwy rezultat. Jestem pewien, że łatwiej byłoby zrelacjonować przeprawę w beczce przez wodospady Niagary, niż opisać niektóre przeżycia poza ciałem.

Z moją działalnością „tu i teraz” wiązał się jeszcze jeden problem. Opracowane przeze mnie ćwiczenia i techniki, które udostępniłem innym, zupełnie nie skutkowały w moim własnym przypadku. Znajomi psychologowie podają wiele powodów takiego stanu rzeczy. Najprostszy z nich sprowadza się do tego, że nie umiem wyłączyć działania lewej półkuli mózgowej. Tak bardzo angażuję się w proces opracowywania ćwiczenia, że moje krytyczno-analityczne uzdolnienia nie pozwalają mi później uwolnić się od oceniania jego treści. Poza tym, aby nadać tym ćwiczeniom formę dźwiękową, musiałem przysłuchiwać się z wyjątkowym skupieniem nagrywaniu i miksowaniu różnych używanych przez nas dźwięków. Oczywiście takie nastawienie niweczy efekt, jaki te dźwięki mają wyrzeć na słuchającym. Nawet wtedy, gdy słyszę prosty dźwięk o jednej częstotliwości, nawyk zmusza mnie do jej analizowania, by móc stwierdzić, czy jest ona stała.

Być może ja też odnoszę jakieś korzyści z opracowanych przez siebie ćwiczeń, tylko nie zdaję sobie z tego sprawy. Niemniej jednak czuję się dość dziwnie w roli człowieka spoglądającego spoza ogrodzenia na założony i wypielegnowany przez siebie ogród, w którym inni tak miło spędzają czas.

Ostatnie wydarzenia z tej sfery mego życia, którą nazywam „tu i teraz”, nie były zbyt skomplikowane. Na przykład boleśnie (dosłownie!) odczułem to, że mój organizm zaczął odrzucać

wszelkie chemikalia. Nie przyjmuje on zarówno alkoholu, jak środków farmakologicznych i kofeiny oraz najwyraźniej tego wszystkiego, co uważa za nienaturalne dla swego funkcjonowania. Objawem takiego odrzucenia czy też reakcji alergicznej jest obfity pot, wymioty, a także gwałtowne skurcze brzucha. Mogłoby to być konstruktywne, gdyby nie miało również stron ujemnych. Nigdy nie piłem nałogowo, a tymczasem już jedna lampka wina wywołuje wspomnianą reakcję organizmu.

Szczególnie trudno poradzić sobie z tym problemem podczas operacji. Mój organizm zaczął odrzucać narkozę i budziłem się (ku zdziwieniu anestezjologa) na stole operacyjnym, czując, jak chirurg zszywa moje ciało. Kiedy w czasie rekonwalescencji odczuwam silny ból, zaaplikowany demerol wywołuje jedynie wymioty. Możecie więc sobie wyobrazić, jak jestem sfrustrowany, gdy inni z powodzeniem stosują opracowaną przez nas metodę pozwalającą w okresie pooperacyjnym wspaniale opanować ból bez używania leków. Podczas pobytów w szpitalu w ciągu ostatnich dziesięciu lat raz osobiście przekonałem się o jej skuteczności. Byłem więc bardzo rozczarowany, gdy nie poskutkowała ostatnim razem. Wprost trudno było mi w to uwierzyć, ale nie działała. I wiedziałem, że jeśli świadomie opuszczę ciało, to nie będę miał odwagi powrócić do tego oceanu palącego bólu.

Wiele lat temu pewien zaprzyjaźniony ze mną psycholog nie dowierzał memu uczuleniu na lekarstwa. Później postanowił sprawdzić, jak mój organizm zareaguje na środki zwane obecnie halucynogenami. Wypróbowaliśmy „laboratoryjną” meskalinę i LSD. Nie było żadnego efektu.

A oto inne wydarzenie. Kiedyś spytałem нефизycznego przyjaciela o swoje poprzednie wcielenie. Otrzymałem wówczas jedną z niewielu czysto werbalnych odpowiedzi. Brzmiała ona: „W swoim ostatnim wcieleniu byłeś mnichem w klasztorze Co-shocton w stanie Pensylwania”.

Spojrzałem na mapę Pensylwanii, ale nie było na niej Coshocton. Wiedziałem, że jest Coshocton w Ohio, gdyż mieszkalem w tym stanie. Spytałem więc jeszcze raz, chcąc upewnić się, że podano mi właściwą nazwę stanu. Okazało się, że jednak chodziło o Pensylwanię. Nie zaprzętałem sobie tym głowy, ponieważ niespecjalnie interesuje mnie, kim poprzednio byłem, o ile w ogóle kimś byłem. O wydarzeniu tym wspomniałem znajomemu księdzu katolickiemu. Zaofiarował się zajrzeć do swych ksiąg. Po kilku tygodniach zadzwonił i powiedział, że istotnie w miejscowości zwanej Coshocton w Pensylwanii był swego czasu klasztor. Sądził, że należałoby tam pojechać podczas któregoś weekendu i zobaczyć, czy odezwą się we mnie jakieś wspomnienia. Może, kiedyś...

Następna historia: pieniądze w kieszeni spodni. Przez całe lata wydarzenie to zachowywałem w ścisłej tajemnicy, gdyż nikt by w to nie uwierzył. Nawet moja żona, Nancy, której pokazywałem spodnie, odnosi się do tej sprawy ze sceptycyzmem. Chodzi o to, że w kieszeni pewnej pary spodni, które wieszam do szafy w sypialni, pojawiają się pieniądze. Prawdziwe banknoty, nie nowe i szeleszczące, lecz przeważnie stare i dość już podniszczone. Kwota bywa niewielka – tylko dwa, trzy lub cztery dolary. Jedenaście dolarów stanowiło maksimum tego, co znalazłem. Czas nie odgrywa tu roli. Mogę nie zaglądać do kieszeni nawet przez tydzień i znajdę w niej, powiedzmy trzy dolary. Mogę nie podchodzić do szafy przez trzy miesiące i prawdopodobnie będzie tam tylko sześć dolarów. Wygląda na to, że czynniki zewnętrzne nie mają wpływu ani na pojawianie się pieniędzy, ani na ich ilość. Pieniądze znajdują się również w spodniach odebranych z pralni i powieszonych do szafy w zaklejonej plastikowej torbie. Podejrzewaliśmy, że jestem lunatykiem i spacerując podczas snu, wkładałem je do kieszeni, ale nierozpieczętowana torba rozwiała nasze przypuszczenia. Nasuwa mi się tylko jedno sensowne

wytłumaczenie tego zjawiska. Moim zdaniem, jego przyczyn należy doszukiwać się w okresie wczesnej młodości. Gdy byłem nastolatkiem i pilnie potrzebowałem kilku dolarów, przydarzyło mi się coś dziwnego, coś co może mieć związek z tym, o czym piszę⁵. Widocznie część mojej jaźni nadal pamięta o tej naglącej potrzebie i próbuje ją zaspokoić. Jaka szkoda, że kiedy człowiek dorasta, pięć, sześć czy nawet jedenaście dolarów na niewiele się zda. Na ogół ludzie nie wierzą w tę historię, ale nie mam im tego za złe. Pewnie i ja bym w coś takiego nie uwierzył, gdybym nie doświadczył tego osobiście.

A teraz inne wydarzenie. W naszym domu w Whistlefield Farm za salonem była weranda. Aby się na nią dostać, należało przejść przez dwie pary dwuskrzydłowych drzwi i zejść po kamiennych schodkach (weranda znajdowała się na niższym poziomie). Schodki były strome, a różnica poziomów wynosiła około półtora metra.

Pewnego ranka, mając w rękach pełno książek i czasopism, przechodziłem przez drzwi prowadzące na werandę. Gdy je mijałem, potknąłem się. Lewa stopa zawadziła o prawą i runąłem głową naprzód w kierunku kamiennej posadzki. Padając, nie byłem w stanie wyciągnąć rąk przed siebie. Pamiętam, jak wówczas pomyślałem: „Nie ma co, skończy się to pęknięciem czaszki i złamaniem karku”.

Około piętnastu centymetrów od podłogi mój upadek został raptownie zatrzymany i wylądowałem bardzo miękko. Najpierw kamiennej posadzki dotknęła moja głowa i ramiona, a za nimi lekko jak piórko opadła reszta ciała. Leżałem tak przez chwilę,

⁵ W swej pierwszej książce Monroe opisuje takie wydarzenie. Będąc piętnastoletnim chłopcem w żaden sposób nie mógł zdobyć dwóch dolarów, koniecznych do opłacenia wejścia na zabawę. W noc poprzedzającą planowaną imprezę przyśniły mu się dwa dolary leżące pod starą deską na trawniku obok domu. Rzeczywistość potwierdziła tę wizję – pod deską, w miejscu pełnym liści, kory i różnych brudów, leżały dwa nowe i suche banknoty jednodolarowe. Zob. *Podróże poza ciałem* (przyp. tłum.).

zdzumiony tym, co się wydarzyło. Obmacałem głowę i ramiona – nie poczułem bólu, nie zauważyłem najmniejszych oznak stłuczenia, żadnego śladu. Wstałem, pozbierałem książki i czasopisma, spojrzałem na miejsce, z którego spadłem, próbując znaleźć jakieś wytłumaczenie. Coś zamortyzowało mój upadek, lecz nie miałem pojęcia, co to było.

Kilka miesięcy później, w środku zimy, wydarzyło się coś podobnego. Gdy schodziłem frontowymi schodami oczyszczonymi ze śniegu, pośliznąłem się i zacząłem spadać. Ale tym razem nie byłem tak bardzo zdziwiony, gdy wylądowałem łagodnie. Tylko dwa razy przytrafiło mi się coś takiego i sądzę, że raczej nie będę eksperymentował w tej dziedzinie. Opisany tu wypadek należy do serii na razie nie wyjaśnionych.

Jedna z bardziej zagadkowych historii, jakie mi się przydarzyły, stanowiła rezultat bezpośredniego kontaktu z innymi istotami – a przynajmniej tak się wydawało. Pewnego dnia w połowie lat siedemdziesiątych, o bardzo wczesnej porze (jeśli chodzi o ścisłość – o trzeciej nad ranem), wyszedłem z ciała, używając jak zwykle metody dla „leniwych”, czyli oddzielenia przez rotację⁶. Niemal natychmiast podeszła do mnie niewyraźna postać, która wydała mi bardzo szczegółowe polecenie: „Panie Monroe, czwartego lipca o siódmej rano proszę udać się do Eaglehill”. Zdziwiony, poprosiłem o powtórzenie instrukcji. Była identyczna: „Panie Monroe, czwartego lipca o siódmej rano proszę udać się do Eaglehill”.

Nie zdążyłem nawet zapytać, po co mam tam pojechać i o co tu właściwie chodzi, gdy sylwetka zbladła i rozplynęła się. Wobec tego „wtoczyłem się” do ciała, usiadłem i dokładnie zapisałem to, co mi powiedziano.

⁶ Dokładny opis tej metody znajdzie czytelnik w pierwszej książce R. Monroe’a *Podróże poza ciałem* (przyp. tłum.).

Następnej nocy, prawie natychmiast po opuszczeniu przeze mnie ciała, pojawiła się ta sama istota, przekazując mi dokładnie takie samo polecenie. Było bardzo stanowcze, brzmiało niemal jak rozkaz – i znów postać znikła, zanim udało mi się dowiedzieć czegoś więcej. Trzeciej nocy sytuacja już się nie powtórzyła. Najbardziej zadziwiające było to, że polecenie sformułowano bardzo wyraźnie, oraz że zostało dokładnie powtórzone następnej nocy. I najważniejsze: „oni” zwrócili się do mnie używając mego nazwiska.

Opowiedziałem o tym rodzinie i kilku znajomym. Zainteresowali się tak samo jak ja. Snuliśmy różne przypuszczenia, lecz nie umieliśmy odpowiedzieć na podstawowe pytanie: gdzie jest Eaglehill? Polecenie przekazano mi mniej więcej w kwietniu, było więc jeszcze dużo czasu, by dowiedzieć się, co ono oznacza. Jednak pomimo wszelkich usiłowań nie mogliśmy znaleźć miejscowości o nazwie Eaglehill. Minęło kilka tygodni i prawie zapomniałem o całej sprawie.

Sytuacja uległa zmianie dzięki następującemu wydarzeniu. Pojechaliśmy w odwiedziny do przyjaciół mieszkających kilkaset kilometrów od nas. Siedzieliśmy na patio, jedząc obiad i gawędząc. Gospodarz miał radio z automatycznym wybieraniem różnych zakresów fal, między innymi tych, na których nadaje policja, straż pożarna, itd. Nagle moją uwagę przyciągnął głos dobiegający z radia: „Eaglehill”. Podniecony, zapytałem, na jaki zakres nastawione jest radio. Był to kanał FAA⁷, który służy do utrzymywania łączności radiowej z samolotami. W napięciu czekałem na dalsze wiadomości. Widząc to, nasz gospodarz zapytał z zaciekawieniem, o co chodzi. Nie trzeba dodawać, że nie uważałem za celowe opowiadać mu o całym zdarzeniu. Po paru minutach radio ożyło. Ktoś mówił głośno i wyraźnie: „Tu

⁷ *Federal Aviation Administration* – Zarząd Lotnictwa Krajowego (przyp. tłum.).

jednostka 351. Jestem nad Eaglehill na wysokości dwunastu tysięcy stóp”.

Następnego dnia, po długiej jeździe powrotnej, poszedłem do oddziału FAA na naszym miejscowym lotnisku i zapytałem jednego z pracowników, gdzie znajduje się Eaglehill. Odpowiedział natychmiast, że jest to punkt oczekiwania⁸ w sąsiednim stanie, miejsce, gdzie została zainstalowana radiolatarnia lokacyjna. Pokazał mi je na mapie tras lotniczych. I rzeczywiście, widniała tam nazwa małej wioski – Eaglehill, choć miejscowości tej nie uwzględniała żadna z posiadanych przez nas map samochodowych.

To stwarzało całkiem nowe możliwości wykonania polecenia. Zatem trzeciego lipca po południu wyruszyłem w długą podróż do Eaglehill. Dojechałem do małego miasteczka w pobliżu domniemanego miejsca, zatrzymałem się w motelu, zjadłem obiad i wcześniej poszedłem spać.

Na drugi dzień, punktualnie o siódmej rano zjawiłem się w Eaglehill. Było to małe, wiejskie skrzyżowanie, wokół którego stały dwa czy trzy domy, warsztat samochodowy i sklep. Słowem – miejsce nie sprawiające na przybyśzu wielkiego wrażenia. Wyglądało tak, jak gdyby nie zmieniło się przez ostatnie trzydzieści czy czterdzieści lat. Zjechałem na pobocze i zatrzymałem samochód. Kilku okolicznych mieszkańców siedzących przed warsztatem przyglądało mi się z zaciekawieniem.

Czekałem już ponad godzinę, ale nic się nie wydarzyło. Nikt do mnie nie podszedł. Podniecenie, które początkowo odczuwałem, przerodziło się w rozczarowanie. Wreszcie, gdzieś po ósmej, pod ostrzałem ciekawych spojrzeń, uruchomiłem samochód, przejechałem przez Eaglehill i wjechałem w rozciągającą się za

⁸ Obszar, w którym samolot czeka na otrzymanie pozwolenia na lądowanie (przyp. tłum.).

nim okolicę. Ujechałem ze trzy kilometry, lecz nie zauważyłem niczego poza farmami. Wobec tego wróciłem do skrzyżowania i pojechałem na zachód. Znowu nic, żadnego znaku, żadnej zmiany, nic tylko wieś i farmy. Cofnąłem samochód i udałem się na wschód. Było identycznie. Wróciłem na mój posterunek na skrzyżowaniu i siedząc w samochodzie czekałem. Kiedy zbliżała się dwunasta, doszedłem do wniosku, że cała ta sprawa jest po prostu przywidzeniem. Pojechałem do motelu, uregulowałem rachunek i zjadłem lunch. Prawdopodobnie albo trafiłem do niewłaściwego Eaglehill, albo źle zrozumiałem polecenie. A może po prostu zakpiono ze mnie lub też był to tylko sen.

Po dłuższych przemyśleniach rozumiałem, jaki błąd popełniłem. Zaproszenie czy też wezwanie nie dotyczyło mego przybycia do Eaglehill w ciele fizycznym, lecz w drugim ciele. Nie uwzględniono tylko tego, że eksterioryzując, łatwo mogę odnaleźć osobę, natomiast trudno jest mi dotrzeć do wskazanego miejsca.

Na marginesie dodam, że po latach, poznawszy pewnego urzędnika państwowego, spytałem go o to osobliwe miejsce, nie wspominając, dlaczego się nim interesuję. Powiedział, że znajdują się tam specjalne stanowe urządzenia badawcze. Ich zainstalowanie zbiegło się mniej więcej w czasie z moim pobytem w Eaglehill. Widocznie fakt ten nie dotarł jeszcze do świadomości ogółu albo też uszedł mojej uwagi. Dlatego miejsce, o którym mowa w moim opowiadaniu, nie zostało przeze mnie prawidłowo zlokalizowane. Jeszcze teraz lubię snuć domysły, co mogłoby się wydarzyć, gdybym stawiał się na wyznaczone spotkanie w drugim ciele.

Jeszcze inna historia. Moje przedsiębiorstwo otrzymało koncesję na założenie telewizji kablowej w Charlottesville w stanie Wirginia i potrzebne nam było miejsce na wzgórzu za miastem do zainstalowania anteny odbiorczej. Właścicielem tego

wzgórza był Roy, niewysoki, łysiejący, energiczny mężczyzna o jasnoniebieskich oczach, obdarzony ciętym i wyrafinowanym dowcipem. Miał ogorzałą i pokrytą zmarszczkami twarz, gdyż przez wiele lat nadzorował pracę w sadzie liczącym ponad dwieście jabłoni, położonym na szczycie wzgórza. Ponieważ był prawdziwym Szkotem, pertraktacje prowadził z wyszukaną obojętnością, ale zakończyły się one zawarciem rozsądnej i uczciwej transakcji. My zaś zostaliśmy przyjaciółmi.

W pewien piątek, po lunchu, Roy mrugnął do mnie porozumiewawczo i zapytał: – Lubisz grać w karty?

Poczułem przypływ dawnego, dobrze mi znanego uczucia. – A w co?

– Niektórzy mówią – zaczął – że nie jest to poker, bo rozgrywamy wiele dowolnych partii, ale zabawa jest wspaniała. Stawka wynosi tylko dziesięć lub dwadzieścia centów, więc nie spodziewaj się wygrania dużych pieniędzy. Spotykamy się co piątek, za każdym razem u innego z graczy. Obowiązuje nas jedna reguła – nie pijemy alkoholu podczas gry. Jest to najstarszy rodzaj pokera, jaki zachował się w Charlottesville. Ma już chyba z siedemdziesiąt lat, a to szmat czasu. Jeżeli chciałbyś dziś zagrać, powiedz, gdzie będziesz, a wpadnę po ciebie koło wpół do ósmej. Zobaczysz, będziesz się dobrze bawił na próbie chóru.

Spojrzałem na niego, nie rozumiejąc. – Na próbie chóru?

Uśmiechnął się. – Tak się tu u nas w Wirginii mówi. Niektórzy nie mają pewności, czy jest to legalna gra, a doszły nas słuchy o obławach robionych przez policję na graczy podejrzanych o hazard. Oczywiście, nie uprawiamy żadnego hazardu.

Uśmiechnąłem się. – Jasne, że nie. A więc do zobaczenia o wpół do ósmej na próbie chóru.

Zacząłem regularnie chodzić na spotkania, wprowadzie nie w każdy piątek, ale przynajmniej dwa razy w miesiącu. Swoją

drogą była to miła odskocznia od mojej codziennej pracy w telewizji kablowej. W spotkaniach brali udział miejscowi biznesmeni. Większość z nich spędziła w Charlottesville całe życie i nie zdawali sobie sprawy z niecodziennych badań, jakie prowadziłem. Nie wiedzieli o opublikowaniu mojej pierwszej książki, a ja nawet o niej nie wspomniałem. Po dziś dzień może tylko jeden lub dwaj z nich mają słabe pojęcie o tym, czym się teraz zajmuję.

Po jakichś dwóch latach, gdy graliśmy kiedyś w pokera, w którym rozdaje się po siedem kart, przydarzyło się coś niezwykłego. W grze brało udział sześć osób. Rozdanie odbyło się normalnie. Między niepokazywanymi kartami miałem trójkę i czwórkę trefl, a wśród odkrytych – piątkę i siódmkę. Licytowano wysoko; na stole widać było dużo par, w tym parę asów Roya. Po licytacji, kiedy próbowałem dokupić szóstkę trefl, by skompletować sekwens, choć statystycznie biorąc nie miałem na to dużych szans, rozdano po siódmej karcie, figurą w dół. Nie zdążyłem jeszcze odkryć swojej karty, gdy przyszła mi do głowy myśl, że jest nią szóstka trefl – nie miałem co do tego wątpliwości. Było to bardzo dziwne: po prostu „wiedziałem”, że tak jest.

– Roy – rzekłem, wskazując nietkniętą kartę. – To jest szóstka trefl. Dzięki niej będę miał sekwens, który pobije twojego fulla z asów.

Roy popatrzył na zakrytą kartę, a potem spojrzał na mnie skrzywiwszy się lekko. Odkrył już swoją ostatnią kartę i wiedział, że ma fulla. – Stawiam pięć, że nie masz takiej karty. To nie jest szóstka trefl.

Sięgnąłem po stos żetonów i powiedziałem: – Mam. To jest szóstka trefl, Roy.

Uśmiechnął się i dokładając do puli swoje żetony, wyrównał stawkę. – Dobra, pokaż.

Odwróciłem kartę i była to szóstka trefl.

Roy uśmiechnął się. – Ale i tak nie jesteś lepszy od mojego fulla. – I wyłożył swoje karty: jego fuli z asów był najsilniejszym układem na stole. – Stawiam następną piątkę, że wśród zakrytych kart nie masz trójki i czwórki trefl.

Uśmiechnąłem się. – Nie chcę twoich pieniędzy, Roy.

– Tylko sekwens złożony z pięciu kart w jednym kolorze może być silniejszy od mojego fulla z asów. – Pchnął przez stół następną stertę żetonów. – Nie sądzę, abyś miał taki sekwens. Dowiedziałeś się skądś, że jest tutaj szóstka trefl, a skoro masz przewagę, to powinieneś się wycofać.

Powiedziałem, uśmiechając się: – Nie chcę twojej następnej piątki, Roy. – Po czym odkryłem trójkę i czwórkę trefl, dzięki którym miałem sekwens w treflach.

Roy tylko spojrzał i powiedział: – Coś takiego!

Podczas następnej partii, gdy rozdającym był Roy, wciąż towarzyszyło mi to samo uczucie, to samo silne „przeświadczenie”. Między czterema odkrytymi kartami miałem piątkę i siódmkę kier. Nawet nie spojrzałem na swoje zakryte karty, gdyż wiedziałem. To wszystko, co mogę na ten temat powiedzieć – po prostu wiedziałem.

– Roy, widzisz tę piątkę i siódmkę kier? – Skinął głową. Tym razem nie miał asów. – A teraz dasz mi ostatnią kartę – szóstkę kier. Dzięki niej będę miał sekwens w kierach. Jak widzisz, jeszcze nie obejrzałem swoich zakrytych kart, zauważyłeś?

Pokiwał głową, przytakując. Śledził uważnie, co się działo. Był rozdającym. Pozostałe osoby bacznie nam się przyglądały. Roy uchodził za wyjątkowo dobrego gracza, więc spodziewano się mojej przegranej.

Roy rozdał ostatnią kartę i zanim zdołałem ją podnieść, powiedział: – Stawiam następną piątkę, że to nie jest szóstka kier. Nie, właściwie to stawiam dziesięć. – I cisnął przed siebie stos żetonów.

– Nie mam zamiaru wyciągać od ciebie pieniędzy – powiedziałem z uśmiechem.

– Nie wyciągniesz ich ode mnie, bo ci ich nie dam – odrzekł.
– Weź kartę i odwróć ją – zażądał.

Zrobiłem, jak kazał. Odkryta karta okazała się szóstką kier. Patrzył na mnie ze zdumieniem. Ponieważ on rozdawał karty, oszustwo było zupełnie wykluczone.

– Poza tym – stwierdziłem – te dwie zakryte karty, których jeszcze nie widziałem, to trójka i czwórka kier.

Spojrzał na mnie. – Stawiam dwadzieścia, że to nieprawda.

Powiedziałem z największą obojętnością: – Nie chcę twoich pieniędzy, Roy – i odwróciłem obydwie karty. Były to trójka i czwórka kier.

Roy popatrzył na sekwens – taki sam jak poprzedni, tyle że tym razem w kierach. – Chwilami wydaje mi się, że jesteś największym szczęściarzem, jakiego spotkałem.

Pozostali gracze przytaknęli.

O tej niezwykle szczęśliwej passie rozprawiano jeszcze przez kilka miesięcy. Szansa na uzyskanie dwu kolejnych identycznych sekwensów przez tę samą osobę podczas rozgrywki, w której bierze udział sześciu graczy, wynosi mniej więcej 5 780 000 do jednego. Jak to się stało? Nie mam pojęcia. Skąd wiedziałem? To bardzo proste, dzięki „przeświadczeniu”. Przypuszczam, że wielu świetnych graczy zdobyło w podobny sposób duże pieniądze. I straciło je, gdy „przeświadczenie” okazało się zwodnicze.

Książka, która mówi o celu
naszego ziemskiego życia,
przyszłości ludzkości i fazach
jej rozwoju

Robert A. Monroe – autor bestsellera
Podróże poza ciałem – w swojej kolejnej
książce odkrywa tajemnice astralnych
wypraw w inne systemy rzeczywistości.
Dzięki niemu dowiesz się, co cię czeka
po śmierci ciała fizycznego i poznasz
nowe możliwości otwierające się przed
naszą prawdziwą istotą. Przyjrzyj się
również przyszłości Ziemi.

Najśłynniejsza książka nurtu
literatury parapsychologicznej

www.galaktyka.com.pl

ISBN 978-83-7579-377-2



9 788375 179372

Cena: 39,90 zł (w tym 5% VAT)